

**Wtorek**

– Jannis... – zagadnął następnego ranka porucznik Cimiriakosa, gdy schodzili w stronę betonowego pirsu, do którego przycumowany był Panther.

Polacy właśnie odpłynęli; za trzy dni mieli zdawać jacht na Rodos. W piątek wieczorem mają lot do Warszawy. Ustalili, że po drodze wysadzą na Leros Marka Grabowskiego, który postanowił tu zostać aż do wyjaśnienia sprawy, zamierzał wynająć pokój w hotelu w Agia Marina, głównym mieście wyspy. Kapsel i Inez zastanawiali się nawet, czy nie zrobić tego samego i w razie potrzeby nie dopłynąć promem po oddaniu jachtu, ale po namyśle nie zdecydowali się na to, gdyż Inez w kolejny poniedziałek musiała stawić się do pracy w Montpellier.

Stawropulos zastanawiał się, czy do piątku uda mu się rozwikłać zagadkę pani Grabowskiej. Zostały niecałe cztery dni – strasznie mało czasu. Potem Polaków już tu nie będzie. Z drugiej jednak strony wypytał ich właściwie o wszystko, co chciałby wiedzieć, na teraz przynajmniej. W dobie komórek i internetu będzie też mógł skontaktować się z każdym z nich w ciągu kilku minut. No, chyba że ten ktoś będzie go unikał. Myślał o Marku. Na typ żonobójcy nie wyglądał, ale... coś porucznika w tym człowieku niepokoiło, nie miał natomiast bladego pojęcia co. Nie odważył się wczoraj zagadnąć go o możliwość samobójstwa małżonki – teraz tego żałował.

Przypomniawszy sobie, że w Atenach i jeszcze wcześniej, kiedy zaczynał swoją policyjną karierę w Salonikach, wśród śledczych panowało przekonanie, że albo mordercę znajdzie się w ciągu miesiąca, albo – z nielicznymi wyjątkami – już się go nie znajdzie. To oczywiście przesady,

ale wielu policjantów w nie święcie wierzyło. Sam Kostas, który ostrożnie pochodził do podobnych rewelacji, podliczył kiedyś sprawy zabójstw, nad którymi pracował i wyszło mu, że w około osiemdziesięciu pięciu procentach mordercę zatrzymywano rzeczywiście w ciągu miesiąca, w jakichś dziesięciu przypadkach na sto do zatrzymania dochodziło w kolejnych dwóch-trzech miesiącach, a w około pięciu sprawcy nie wykrywano wcale.

A tu Stawropulosowi zostawały tylko cztery dni. Miał dziwne, irracjonalne przeczucie, że wraz z wyjazdem Polaków straci jakiegokolwiek szanse na rozwiązanie tej sprawy. Sprawy, która zresztą niekoniecznie była morderstwem. W rzeczy samej, nie miał nawet poszlak, które by na to wskazywały. Bez żadnych wątpliwości miał natomiast zaginioną osobę. A tak naprawdę trzy zaginione osoby. Postanowił jednak skupić się na Agnieszce:

– Słuchaj... – ciągnął Stawropulos. – Czy twoim zdaniem możliwe jest, by dwie osoby zdołały tu wczoraj uprowadzić dość wysoką, sprawną kobietę? Wbrew jej woli, niezauważenie doprowadzić do przystani i zapakować na łódź?

– Hm... – zastanowił się Cimiriakos. – Raczej nie. Jest tylko jedna ogólnodostępna ścieżka na przystań; kto chciałby iść inaczej, po kamieniach, w ciemności połamałby nogi. Ścieżka ma jakieś siedemset pięćdziesiąt metrów, wieczorem często chodzą nią nasze kobiety, zaganiając kozy-matki z młodymi do obórki, reszta stada pasie się luzem do listopada. Łażą nią też żeglarze... Nawet gdyby nikogo akurat po drodze nie spotkali, jak dostaliby się na łódź? Szejk musiałby ich widzieć. Jego jacht jest

przecież pierwszy przy nabrzeżu – każdy próbujący dostać się do swojej łodzi pontonem musiałby przepłynąć obok.

– No tak... – zamyślił się Stawropulos. – Skoro zatem ściągnięcie pani Grabowskiej na jacht siłą w czasie kolacji raczej nie wchodzi w grę, tym bardziej trudno przypuszczać, by ktoś był w stanie cichcem przetransportować jej zwłoki. Pozostaje jedno wyjście...

– Jakie?

– Poszła z tajemniczą dwójką na jacht dobrowolnie, jakoś koło drugiej w nocy, kiedy szejk już spał, a jej mąż i polski kapitan jeszcze nie podjęli poszukiwań.

– A niby na który z jachtów? Stały tu wszystkie do wczorajszego wieczoru, przeszukałem je dokładnie, ty też, z psem. Nie ma szans, żeby trzy osoby się gdzieś schowały. W dodatku niezauważone przez pozostałych załogantów.

– Oczywiście, Jannis. Ale nie sądzę, byśmy przeszukali wszystkie łodzie.

Cimiriakos spojrział na policjanta z miną, która zasadniczo wyrażała zdziwienie, ale czał się w niej też załątek gniewu.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Że nie sprawdziłeś łodzi pod banderą z żółciem! – twarz Stawropulosa rozjaśnił szeroki uśmiech.

– Daj spokój! Nie ma takiej bandery!

– Chcesz zatem powiedzieć, że staruszka miała omamy? Na osobę z demencją, przy całym dostojnym jej wieku, nie wygląda.

– A ty chcesz powiedzieć, że wpłynął tu wczoraj jacht pod dziwną banderą, którego obecności ani odpłynięcia nie zauważyło trzydziestu paru żeglarzy, nie mówiąc

już o moich synach? A widziała go tylko jedna starsza Włoszka?

– Nie wiem, Jannis. Ale gdybym miał na coś postawić, ryzykując w razie pomyłki utratę głowy, założyłbym, że ta trójka opuściła w nocy twoją wyspę, prawdopodobnie razem i zapewne tym dziwnym jachtem czy cokolwiek to było, którego obecności nikt poza panią Montani nie dostrzegł. Pytanie tylko, jak zdołali wypłynąć niezauważeni i czy wszyscy byli żywi. No i o której, bo przecież nie w godzinach, kiedy szejk gapił się w niebo albo palił fajkę. Właśnie, słuchaj, czy możliwe jest, by wypłynęli jakoś potem, między drugą a piątą, i nikt ich nie zauważył?

– Mało prawdopodobne. Pamiętaj, że nie spało co najmniej dwóch Polaków, którzy szukali Agnieszki.

– Chyba że było to w momencie, kiedy weszli na górę sprawdzić, czy nie została w tawernie, albo potem, gdy ruszyli cię obudzić?

– Niby tak, ale z dużego odcinka ścieżki też zatokę widać. No i słychać by było pracę silnika, a oni musieli być wtedy wyczuleni na wszelkie odgłosy, w nadziei, że usłyszą wołanie o pomoc. Zatem czas, kiedy rzeczywiście nie kontrolowali tego, co się działo na przystani, był pewnie bardzo krótki.

– A potem? Gdy twoi chłopcy wypłynęli w morze?

– Raczej też nie. Zbliżał się już brzask, polski kapitan i mąż pani Grabowskiej nie spali, a wkrótce, na wieść o tragicznej nowinie, wstała także reszta polskiej załogi. Na pewno zauważyliby wypływający jacht.

– Chyba że... był to na przykład kuter.

– Niemożliwe.

– Dlaczego?